

Zapiski syberyjskie

Jest rzeczą naturalną, że ludzie dotknięci przez los piszą pamiętniki. W moim pokoleniu, urodzonym w latach 20. ubiegłego wieku, tematem wielu wspomnień są: wojna, okupacja, losy Żydów, powstanie, wywózki. Właśnie o wywózkach chcę napisać. Należę do tych, których władze radzieckie zesłały w 1940 roku na daleką Północ, na Syberię.

Kiedy wspominam tamte czasy: głód, mrozy, pracę często na granicy ludzkiej wytrzymałości, odczuwam potrzebę opisanie ludzi, wśród których byłem. Ich losy były o wiele cięższe niż moje. Dodam, że nigdy nie byłem w warunkach koszmarnych. To ważne, ponieważ tylko w ludzkich sytuacjach ludzie są sobą, czują i myślą normalnie. Tam, dokąd mnie zesłano, byli nasi poprzednicy w nieszczęściu, Ukraińcy i Rosjanie. Zesłano ich w czasach strasznych, nieludzkich, wtedy, kiedy „pacyfikowano” Ukrainę, w latach 1928-29. Rozbijano rodziny, niszczone domy i zagrody. Miliony umierały z głodu. Po jedenastu latach, gdy spotkałem ludzi, którzy przeżyli najgorsze lata szczęśliwie, bo zachowali życie, mogłem obejrzeć ich dobytek, to, do czego doszli straszną pracą. Mały tobolek, spódnica, bielizna. Na nas patrzyli z goryczą. Nam się wydawało, że już większe nieszczęście nas nie spotka, że to dramat – oni patrzyli na nasze toboły, walizy, na nasze ubrania, mówiąc: tu już jest stołówka, są baraki, komendantura, więzienie(!), a nas zesłali bez żadnych rzeczy. Gołymi rękami karczowaliśmy korzenie ściętych drzew. W dzień musieliśmy pracować w lesie, a po pracy oczyszczać teren, budować baraki. Żadnej korespondencji nie można było prowadzić, a wam poczta doręcza pieniądze, paczki, możecie pisać listy...

Wszędzie, gdzie byłem, spotykałem ludzi zesłanych, krzywdzonych. Mówili: „Wojna się skończy, wielkie mocarstwa was zaborą, a my zostaniemy”. Większość z nich nie miała prawa wyjechać, mieli wyroki, tak jak my. Ja np. dostałem (zaocznie!) dziesięć lat wywózki, czyli więzienia. Za co? Za nic, za to, że jestem. Wszyscy mieliśmy takie wyroki.

Rosjanie zapraszali nas do siebie na „czajok”. Byli sympatyczni, ale nigdy nie pytali o to, jak żyliśmy w Polsce. Bali się. W każdym domu były biblioteczki, książki. Zawsze Czechow, Gogol, Gorki. Przeczytałem też broszurę o Polsce. Niewiarygodną! Pany bijące chłopów. Kłamstwo na kłamstwie.

Nasze kontakty były sporadyczne, bez przyjaźni, rozmów „od serca”, ale serdeczne. Kiedy zdecydowałem się kupić krowę (przywieźli dwadzieścia jeden), poszedłem do wioski na plac, gdzie leżały, czekając na nas. Byłem jednym z pierwszych chętnych, wybrałem burą krowę, największą i najgrubszą. Sądziłem, że lada chwila urodzi. Wziąłem postronek, długi na kilka metrów. Rosjanki śmiały się, widząc moją nieporadność. Bałem się trochę rogów leżącej krowy, ale jakoś zawiązałem jej na rogu postronek. I teraz się wszystko zaczęło. Kobiety śmiały się, ja szarpałem sznur, ale krowa

nie reagowała. Nazwałem ją Bura, bo przecież taka była. Szarpałem, ale z daleka, kobiety się śmiały. Krowa chyba też, bo nagle wstała, schyliła łeb jak byk na korridzie i ruszyła biegiem, ja w panice też, przez śnieg, wreszcie usłyszałem chrapanie tuż za sobą, ze strachu puściłem sznur, Bura przebiegła, ja wyładowałem w śniegu przestraszony. Wstałem, patrzę, a Bura stoi, patrzy na mnie. Zbliżam się, ona biegnie, na tę samą odległość. Wyraźnie bawi się mną, wreszcie gdzieś zapętała się w jakiś róg zagrody. Co robić? Na szczęście lituje się nade mną jedna z Rosjanek. Spokojnie podchodzi, ujmuje krowę za sznur, za łeb i prowadzi za mną do mojego „posiołka”. Jestem jej bardzo wdzięczny. To ze cztery kilometry. Dochodzimy do stajenki, którą skleciłem z drągów i siana na dachu. Uczy mnie doić, moja żona nie chciała krowy, nie chce się uczyć. Cisnę kluchowate cycki, źle mi to idzie, ale wiem, że wprawa przyjdzie z czasem. Rosjance dają dwa pudełka papierosów. Nie chce przyjąć, w końcu bierze szczęśliwa. Mój romans z krową zakończył się wielką przyjaźnią. Bura była posłuszna jak pies, nauczyłem ją różnych sztuczek. Chodziła „w nogę”, przybiegała na zawołanie. Ale mleka nie miała. Upłynęły chyba trzy miesiące, była już gruba jak beczka, wciąż czekałem, aż się ocieli. W mroźne noce, kiedy dochodziło do 40-50 stopni zimna, wychodziłem do stajenki i wiechciem słomy masowałem jej grzbiet. Tulilem ją jak ukochanego psa. Wreszcie zaczęła rodzić. Przybiegła mi pomóc jedna Rosjanka, była kolchoźnica. Ten poród był cudowny, patrzyłem na to wszystko z zachwytem. Krowa szalała z bólu, machała łbem, dopiero kiedy ją ująłem za rogi, uspokoiła się, tuląc do mnie. Rosjanka przywiązała sznur do kopytek cielaka, które wystawały, i szarpnęła z całej siły, tak, że cielaczek upadł na ziemię. Cały w słuzie, zmięty. Byłem pewny, że nie żyje, ale tu spełnił się cud narodzin. Bura lizała go, a on pęcniał z chwili na chwilę, wreszcie po kilku minutach zaczął wstawać, niezgrabnie wysuwając nogi. Stał, ja trzymam Burę, a ona liże raz cielaczka, raz mnie...

Kiedyś już wiosną, a może na początku lata, poszedłem jak zawsze w niedzielę na długi spacer. Idąc brze-



Stare cerkwie prawosławne, obecnie skansen-muzeum, Jakucja, Tatiński Ułus; stare barki na brzegu Leny, Jakucja; tajga w okolicach Topolinnoje, w Górach Wierchojańskich. Fot. Lech Mróz

giem rzeczki, doszedłem do rybackiej wioski Ainów. Sieci suszyły się na dragach, rybacy, już w bardzo podeszłym wieku, łowili ryby, a ja zacząłem rozmowę ze starą kobietą. Potem podeszło jeszcze kilka, ciekawych tego, jaki jestem. Każdą całowałem w rękę, wzdrygały się, ale widziałem, że to robi na nich wrażenie, chciałem, aby czuły, że je szanuję. To im dawało jakąś satysfakcję, mówiły „polskie pany”. Nie przypuszczałem, że odpłacą mi, i to z nawiązką. Po wielu miesiącach, pilując w lesie drzewo, nie zauważyłem, że jest napięte. Nic dziwnego, w lesie ludzie wariowali, tak dukały komary i muszki. Smarowałem się naftą, rybim tłuszczem, siuszkami, ale to mało pomagało. Powietrze aż drżało od ciągłego brzęczenia owadów. Zrobiłem błąd. Leżący kłoc przygniótł moją stopę do pnia! Wyłem z bólu. Okryto mnie jakąś szmatą. Ludzie mówili – ten szczęśliwy, wyjdzie z lasu. A w domu katastrofa – powódź! Woda zalała łóżko, pokój, chatę, aż po sam dach. Komendant kazał mnie zawieźć do chaty oddalonej z dziesięć kilometrów od obozu. Byłoby dobrze, gdyby nie noga. Ból narastał. Przyszedł felczer. Jak zawsze, nie miał żadnych lekarstw, tylko jodynę. Miał jednak termometr, było 41 stopni. Boże! Traciłem przytomność, męczyłem się tak ze trzy dni. Wieczorem, senny, zobaczyłem szamana. Nie wierzyłem swoim oczom. Wiedziałem, że od jedenastu lat ukrywa się przed władzą. Miał bębenek i chyba pomocnika. Nie wiedziałem, czy to omam, czy sen. Po chwili zasnąłem, i to bardzo mocno. Obudziłem się. „Wszystko dobrze” – powiedział szaman. „To było siedem kawałków”. Złożył i powiedział, że za czterdzieści dni będę normalnie chodzić. Jak zdrowy! No i tak się stało.

Dotarły do nas wiadomości, że jest armia Andersa, ale że już wychodzi ze Związku Radzieckiego. A ja chciałem walczyć z Niemcami. Zgłaszałem się do wojska, ale powiedzieli, że Polaków nie przyjmują. Pomyślałem, że musi powstać polskie wojsko, które będzie walczyło razem z Armią Czerwoną, i wysłałem list z prośbą, żeby mnie wezwać do wojska, które musi przecież powstać. No i po kilku tygodniach dostałem wezwanie nr 6 do Ludowego Wojska Polskiego. W moim urzędzie wojskowym radość, wymyślałem im, że nie chcą mnie wziąć, teraz fetowali razem ze mną. Dostałem skrzynkę z 21 butelkami wódki, piliśmy trzy dni, po czym przybranym zielenią wozem dojechałem do Tiumentia. Rosjanie zegnali mnie serdecznie, jako tego, który „chce nam pomóc”.

Ale z Tiumentia trzeba było się dostać do Diwowa, gdzie formuje się dywizja. Do Moskwy raz na dobę jedzie pociąg. Mowy nie ma, żeby się do niego dostać. Tłum walczy, żeby wejść na stopnie, na dachy wagonów. Tak mijają dwa dni. Na trzeci próbuję fortelu. Widzę, że do jednego wagonu nikt nie wsiada, nie usiłuje wejść. Pytam konduktorki (w każdym wagonie była, dokładała węgiel do pieca), co to za dziwny wagon. To dla bohaterów Związku Radzieckiego i wyższych oficerów. Kojarzę,

przy kasach jest jedno okienko, przy którym nikogo nie ma, z napisem „Dla bohaterów..” itd. Wygrzebuję z plecaka kwit z warszawskiej pralni, jest na nim okrągła pieczętka, a w Rosji pieczęć znaczy bardzo wiele. Prostokątna, trójkątna i najważniejsza okrągła. Pukam do okienka i beczelnie podaję wezwanie do wojska i kwit z pralni. Oczywiście po polsku, więc urzędniczka daje się nabrać, i w ten sposób spokojnie, do tego karmiony, dojeżdżam do Moskwy. Po dwudziestu siedmiu dniach! A jak już jestem w Moskwie, chcę zobaczyć miasto, teatry. Żołnierz przy wyjściu zatrzymuje mnie bagnetem, pokazuję więc kwit z pieczęcią i idę do miasta. Grają w teatrze *Trzy siostry* Czechowa w premierowej obsadzie. W kasie pani mówi, że bilety wyprzedane na pół roku. A dla bohaterów i wyższych oficerów? Dostają od razu, w nocy jadę do naszego wojska. Do Berlinga. Tym razem już bez kwitu z pralni.

A w wojsku pierwszą rzeczą była wizyta u lekarza. Pyta o choroby, coś mówię, także to, że przed dwoma trzema miesiącami miałem zmiażdżoną kostkę. Sympatyczny porucznik roześmiał się. To było zwichnięcie, przecież nie kuleję. Mówię mu o szamanie, więc bierze mnie do pokoju z rentgenem, prześwietla i mówi: „O kurwa! Siedem kawałków. Genialnie złożone. To w Europie byłoby możliwe, może w Anglii, nie u nas”. Woła innych oficerów, pokazuje im. No i mam teraz 93 lata, różne dolegliwości, ale kostka scementowana nigdy nie boli. Nigdy! Jednak szaman to figura. Ale ważne i to, kto tego ukrywającego się szamana sprowadził. To Ajnowie, kobiety, które całowałem w rękę, aby czuły, że mam do nich szacunek, co im się chyba wśród Rosjan nigdy nie zdarzyło. Mieli do mnie zaufanie. I tak się okazało, że gest szacunku przyniósł cudowny efekt.

Pięknych, mądrych ludzi spotkałem też wtedy, gdy uciekałem z Łorby. Nie chcę opowiadać całej historii, więc w skrócie: moja krowa zaginęła w lesie dyrektora leśnego przedsiębiorstwa. Potem okazało się, że zabił ją na mięso i skóry dostawca mięsa. Było to po umowie z rządem polskim, pozwolono nam wyjechać i stało się to możliwe właśnie teraz. Był to tydzień, kiedy rzeka wzbiera, zatapia lasy, pozwala łodziom dopłynąć z Łorby do Obu. A tam już inny świat, parostatki tak ogromne, że wiozły 600-800 osób. Odgrywam teatr, płacę, pożegnania, picie. Ostatnia łódź czeka na mnie, w nocy biegnę do niej. Żydzi przebijają mnie za pejsatego chłopaka. Docieramy po kilkunastu godzinach do Atłymu. Wiosłuję ja i mój szwagier, a w drugiej parze Żydzi. Ob jest straszny. Jak wylewa, dochodzi do pięćdziesięciu kilometrów szerokości. Zalewa lasy, potem, gdy woda odchodzi, zostają w rozpadlinach karpie, tuczą się glistami. Pracujemy z Tadziem do utraty tchu. Ale Żydzi przerywają i wszyscy chóralnie się modlą. Ratują nas rybacy. Mokrzy wylazimy z zalanej już łodzi, a Żydzi cieszą się, i mówią, że to ich modlitwa nas ocaliła!

Przez cały tydzień ukrywam się w Atłymie, przy każdym statku, który przypływa, stoją wysłannicy szefa Les-

promchozu. Wiem o wszystkim, przychodzą rosyjskie telefonistki i mówią, kto co powiedział. Decyduję sięjechać w odwrotnym kierunku, do Morza Północnego. Wracamy, gdy już nadchodzi zima. W Łorbie wchodzę na pokład statku, wielkiego, takiego prawie na tysiąc osób. Zaczynam od noszenia drzewa opałowego, marynarze wrzucają wielkie kłoc do paleniska. Wieczorem zauważa nas kapitan. Jesteśmy inni. Rozmawiamy dobrą godzinę. „Wy silno gramotny”, tzn. wykształcony, mówi, i lokuje nas w kajucie obok swojej. Teraz jemy przy stole kapitańskim. Serdecznie nas żegna w Tobolsku. I ta sytuacja kulturalnego awansu powtarza się parę razy.

Idę pracować do biofabryki. Produkują szczepionki, ja zostaję palaczem i znów przychodzi dyrektor. Opowiadam o tym, co robiłem w Polsce, moja żona – anglistka, szwagier inżynier (niedokończone studia). Umieszcza nas na piętrze, tuż obok dyrektora. W dzień jestem palaczem, ale każdego dnia wieczorem przychodzi do mnie do kotłowni dyrektor. Podobnie, gdy pracujemy w MTS, stacji traktorów, która obsługuje region. Dyrektor z wielką klasą, czarujący, mądry – wyklęty razem z sześcioma kolegami. Sam Stalin o nich mówił w corocznym sprawozdaniu. Skończyli wyższą szkołę gospodarczą i postanowili gospodarować mądrze w kolchozie. Wyniki mieli świetne, ale wielki wódz uznał to za przeszkakiwanie etapów. Na komunę przyjdzie czas później... Dostali sześć lat wywózki, każdy gdzie indziej.

Ja, po pracy, w zimie, w administracji, zostaję traktorzystą i szybko brygadierem. Mam kilkanaście traktorów, kilkanaście kolchozów, w których uprawiamy ziemię. Kolchozową i nielegalnie pół hektara koło domu. Głód. Wszystkie konie, psy, koty zjedzone. W kolchozach tatarskich wypadki ludożerstwa. Moja żona zostaje główną księgową, szwagier kierownikiem warsztatów. Czujemy się odpowiedzialni za los ludzi. Kobiety same nie mogą ciągnąć pługów, są 5-7-skibowe. Traktory, a więc i zasiewy, są warunkiem przeżycia. Zbliża się termin sadzenia, ale nie ma ani mililitra benzyny. Czekają wszyscy, dosłownie wszyscy, na dostawę. Jeśli przyjdzie za późno, siew straci sens. Dłużej nie można czekać. Jest benzyna w zbiornikach jako rezerwa wojskowa. Wziąć? Jak przyjdzie kontrola, to rozstrzelanie na miejscu. Moja żona, dyrektor i politruk podpisują zlecenie dla magazyniera. Ryzyko ogromne, ale traktory jadą w pole. Oczywiście uważam, że trzeba to ryzyko podjąć. Na szczęście dostawa przychodzi w końcu maja. Zaczynam inaczej patrzeć na politruka, to są sytuacje krytyczne i przejście przez nie jakoś łączy ludzi.

Gdy myślę o tamtych latach, wspominam ludzi dobrych, starego Żyda, który chciał mi pomóc, gdy nieudolnie próbowałem sprzedać swój płaszcz, księży, których nie znałem, ale gdy któregoś prosiłem, dawali mi świadectwa chrztu, komunii dla ukrywających się ludzi. Miałem sąsiadów, dziewczyny, które się we mnie kochały. Traktorzystki gotowe przezwyciężyć strach,

gdy pracowały nocą, a wilki wyły po lasach. Frosia, Fi-za, Tamara... Jak je zapomnieć?

Wiara i rozum

Coraz większą rolę w naszym życiu odgrywa pamięć. Jestem w istocie na nią skazany. Kształtuje sferę emocjonalną, w tym także moje myślenie o Bogu, wierze. Jestem agnostykiem, ale to nie wszystko, nie jest to sprawa prosta, jednoznaczna. Rozum mówi, że nie wierzę, ale pamięć przywołuje wzruszenia o wyraźnym religijnym podtekście. Wracam do lat dziecińczych, do szkoły, i nie mogę zapomnieć momentów żarliwej wiary, doznań o mistycznej sile, przeżyć muzycznych czy związanych z percepcją przyrody. Wzruszam się, gdy w *Trzeciej symfonii* Karola Szymanowskiego tenor śpiewa: „Ja i Bóg, nocy tej jesteśmy sami”, a w *Stworzeniu świata* Haydna Bóg stwarza Ziemię. Czuję nadludzki wymiar *Wohltemperierte Klavier*, czystość frazy tak cudowną, że jestem w stanie zgodzić się z sądem, iż Bach jest najlepszym dowodem na istnienie Boga. A krajobraz? Zesłany na Syberię w latach wojny pocieszenie znajdowałem w przyrodzie. Wzruszał mnie las, nietknięty ludzką ręką, modrzewie tak majestatyczne i smukłe, że ścinając je zawsze, miałem poczucie grzechu. A góry? To są niezapomniane przeżycia, wręcz religijnej siły.

Wspomnień nic nie zagłuszy. Ile wzruszeń doznałem w kaplicy mojej szkoły we Włocławku. Nie wiem, czy ciemność nocy, zapach kadzidła i kwiatów nie ratowały mnie w stanach załamania. Tylko tam było mi dobrze. Czy mógłbym o tych wzruszeniach zapomnieć? Są przecież we mnie, formują moją osobowość.

Nie wierzę, ale nie wierzę jako człowiek ukształtowany w tradycji judeochrześcijańskiej. To bardzo ważne! Inaczej bowiem nie wierzy katolik, inaczej ewangelik, żyd czy buddysta. Różne podglebie kulturowe, nawyki w myśleniu czy zachowaniu. One sprawiają, że niezależnie od tego, czy chcę tego, czy nie, jestem niewierzącym chrześcijaninem. Coraz silniej zraża mnie hierarchia katolicka, obrzędowość, merkantylizm, odejście w muzyce od tradycji spod znaku Bacha czy Haendla.

Napisałem, że nie wierzę. Ale to niepełna prawda. Rozumowo nie wierzę, ale emocjonalnie moja wiara/niewiara stanowi przestrzeń, w której to jedna, to druga postawa znajduje przewagę. Uciekam od jednoznacznych ocen – jak bowiem ocenić zdarzenia w moim życiu, które, logicznie myśląc, nie miały prawa się wydarzyć? Przykład: wojna, moja dopiero co poznana Gusti, ukochana nade wszystko, jest w sztabie dywizji, gdzieś w pobliżu frontu.

Dostaję przepustkę z mojej brygady artylerii, jadę do Lublina, tam mi mówią, że sztab jest gdzieś w drodze do Warszawy. Zatrzymuję na szosie ciężarówkę, włączę na pudło, jadę. Robi się ciemno, i co gorsze, zimno. Trudno wytrzymać, po jakiejś godzinie pukam do szoferki. Stajemy, daję kierowcy butelkę bimbru i zaczynam iść

w głąb, poprzez zwały ziemi, wykroty, krzaki – w końcu widzę światła w chałupach. Wieś. Idę do pierwszej chałupy, pukam. Otwiera mi Gusti! Przypadek?

Albo: stoję na wzgórzu, w punkcie dowodzenia, tuż obok rosyjskiego pułkownika. Widzę (!) lecący pocisk, jego trasę, to ułamek sekundy, za mało, by zrobić ruch. Czuję (wiem?), że trafi tego koło mnie. Rozłupało mu głowę.

Albo: szrapnel, odłamek przecina mi skórzaną koalicijkę na piersi, ale nawet nie drasnął skóry. Potem dzień w dzień identyczna sytuacja. Stoję bezradny w załamku muru, Niemcy strzelają z obu stron. Jeszcze chwila, a zniszczą murek i będzie koniec. Zabrakło im pocisków! I pierwszego, i drugiego dnia.

Albo: początek Powstania. Gen. Berling każe mi dowodzić pierwszą łodzią z żołnierzami. Pojedziemy w nocy, chłopcy znają mój głos. Ale najpierw mam po coś (nie pamiętam po co) jechać do sztabu. Jadę odkrytym willysem szosą na Wale Miedzeszyńskim. Ciemno, my bez świateł. I... trzask! Zderzenie z ciężarówką, też bez świateł. Wyrzuca mnie w powietrze. Tracę przytomność, leżę czternaście metrów dalej. Nie mogę ruszać ani ręką, ani nogą, ani mówić. Ale widzę: kierowca ma rozbitą głowę, oficer, który siedział obok niego, mówi do żołnierzy, którzy nadjechali (patrz na mnie): „On już nie żyje!”. Mówi o tym w sztabie mojej Gusti. A mnie, trochę później, zabierają żołnierze. Gusti szczęśliwa, a ja już po trzech dniach jestem całkowicie zdrowy. Po zdobyciu Warszawy jadę moim willysem przez most pontonowy, tuż przy brzegu na nasypie leżą zabici żołnierze z tej mojej łodzi, jak na filmie rysunkowym. Jeden stoi przy dziale, inni niosą pociski... Trzeba było katastrofy, aby mnie ocalić.

Jeszcze jeden przykład: rannego, przewożą mnie z frontu do szpitala. Wieczór, ambulans zatrzymuje się w jakimś miasteczku. Słyszę głos Gusti! Zwlekam się, jesteśmy chwilę razem. Mówi, że nie wie po co, ale czuła, że chce pójść na rynek. Takich przykładów jest wiele. Te bardziej oczywiste to telepatia. Ale są inne. Ktoś z przyjaciół po przeczytaniu mojej biografii powiedział, że mój los to dowód na istnienie Pana Boga. No i co? Wierzyć? Nie wierzyć? Wkraczamy w sferę niepewności, w sytuację, których nie da się wyjaśnić.

Kiedy chcę dotknąć rąbka tajemnicy, myślenie racjonalne zawodzi. To sfera wyobraźni, snu, przeczuć. W tym klimacie pojęcie Boga kształtuje się inaczej, niż w modlitwach dziecka czy naukach Kościoła. To, jak napisał Iwan Wyrupajew, „samo życie, w którym jestem, Bóg to cisza wewnątrz mnie, to słowo i ciało, to kosmiczna energia światła i miłości. Nie ma znaczenia, czy człowiek wierzy w Boga, czy nie wierzy. Ważne jest, czy Go zna”.

Mój Bóg jest z kultury europejskiej, z dekalogu, praw naturalnych, z szacunku dla drugiego człowieka, dla zwierząt, a nawet dla rośliny. Szacunku, a więc czegoś więcej niż tolerancji. Najważniejsza książka, która towa-

rzyszyła mi na Syberii, to Nowy Testament, Ewangelie. W nich ciągle odkrywam nowe myśli, nowe tropy.

Poznałem w życiu wielu ludzi mądrych, pięknych, takich, którzy umieli poświęcić się dla innych, ludzi, którzy są świeckimi świętymi. Widziałem ich na zesłaniu syberyjskim, we wszystkich etapach mojego życia. Żeby być sprawiedliwym, dodam, że prawie wszyscy byli wierzący. Zresztą można nie wierzyć w Boga, ale trzeba tak się zachowywać, jakby On był.

Powrót syna marnotrawnego

Były w moim życiu lata, kiedy mogłem posługiwać się tylko pamięcią. Pamięcią i wyobraźnią. O tej wyobraźni zresztą nie myślałem, nie ceniłem jej. Ale była i w postrzeganiu muzyki, i malarstwa. Obrazy, które przywoływała pamięć, zmieniały się, elementy ważne dla artysty nikły, zostawał zapamiętany obraz. Kaleki, ale mój. Później, gdy już wróciłem z syberyjskiej tułaczki, mogłem skonfrontować go z reprodukcją, a potem z oryginałem. Zapytany, które płótno w Ermitażu jest dla mnie najważniejsze, bez wahania powiem: *Powrót syna marnotrawnego* Rembrandta. Ale ten obraz, który tak silnie oddziaływał na mnie, różnił się od oryginału. Zagubiłem w nim wątek syna, który został przy ojcu i teraz odczuwał niesprawiedliwość, widząc gorące przywitanie „marnotrawnego” brata. Jak mogłem go pominąć? Zauważył na tym fakt, iż jestem jedynakiem. Tak przeżywam świat. Dokładnie zapamiętałem ojca przytulającego syna, wyraz jego twarzy, oczu, ust, a także ten niesamowity pantofel syna. Scena niezwykła, genialna. Ale pominąłem wątek drugiego syna, tego z domu. Pewnie gdybym miał brata, pamiętałbym jego dramat, ból, zawiść. Ale jeszcze wtedy, patrząc na reprodukcję, nie uświadamiałem sobie rzeczy teraz dla mnie najważniejszej: odkrycia mojego ojca. Odkrycia już po jego odejściu. Teraz jest już za późno, by mu o tym powiedzieć, a tak by to było dla niego ważne.

W moim dzieciństwie zawsze ojciec był, ale jakby go nie było. Ratował, gdy miałem kłopoty w szkole, zawsze. Przedmiotem mojej uwagi, intensywnej miłości była mama, Francuzka, krucha, chora na serce, źle widząca. Nieznająca na początku języka. Intelktualistka, przeraźliwie samotna, zawsze „obca”. Bez kontaktów z rodziną ojca, wykluczona przez dziadka, który żałował, że ojciec wybrał jakąś wywłokę z Paryża zamiast płowłosej Stasi Piskorskiej, której majątek graniczył z naszym. Zawsze ważna była mama, dla niej był mój ojciec. Tylko wuj, Bolesław Prus, był dla mamy serdeczny, doceniał jej wykształcenie, kwalifikacje tu bezużyteczne. Na jego prośbę nazwano mnie Aleksander Bolesław. Ale to było dawno, w 1910 roku, kiedy moi rodzice przyjechali z Paryża. Ojciec starał się, aby mama żyła w dobrobycie. Z ogromnym trudem, tuż po wybuchu rewolucji październikowej, sprowadził babcię, jej matkę, z Ukrainy. Ale mama w obcym środowisku skazana była na samotność. Czu-

łem, a pewnie i pojmowałem tę sytuację. Mama była najważniejsza, ukochana. A ojciec?

Sprawiałem wiele kłopotów. On zawsze mnie ratował ojciec. Nawet wtedy, gdy chciano mnie wyrzucić ze szkoły, nie dopuścić do matury. Bronił, przekonywał, upokarzał się. A kiedy późną jesienią 1939 roku postanowiłem wyjechać do Lwowa, starał się mi pomóc. Ale z władzą radziecką wygrać nie mógł. Zesłano mnie na Syberię. Dopiero po latach, przeglądając domowe archiwum, zobaczyłem, ile energii kosztował go ten mój Sybir. Listy do bliskich, do Japonii, Stanów Zjednoczonych, Kanady, do królowej włoskiej – transfery, by wysłać pieniądze. Cudowny, niezwykle człowiek. Teraz to widzę. W życiu codziennym nie dostrzegałem jego odwagi. Chronił mamę, ale też Żydów. Na stryszku willi przechowywał żydowską rodzinę. Ukrywał ich nawet wtedy, gdy służąca stała się groźną antysemitką. Donosiła do gestapo. A kiedy weszła Armia Czerwona, ojciec próbował interweniować u ministra bezpieczeństwa w sprawie redaktora Augustyńskiego.

I tak zacząłem Syna *marnotrawnego* przeżywać „osobiście”. To, jak klękam u jego stóp, to on jest tym dobrym ojcem. Dobrym? Zacząłem rewidować mój stosunek do niego. Kiedyś wyśmiewałem go: „Wszyscy cię kochają – mówiłem – każdy czegoś od ciebie chce. Dajesz, kiedy możesz. A ludzie? Ryzykowałeś w latach wojny, przechowałeś iluś tam Żydów. Przeżyli. A tylko jedna pani przyniosła w podziękę kwiaty”. Nie dla kwiatów ryzykował, nie dla pieniędzy. Po prostu był c z ł o w i e k i e m. Kosztowało go to, przyjaciele oszukiwali, wykorzystywali. A on był uosobieniem dobroci, szlachetności. Teraz, gdy sumuję moje życie, przyjaźnie i miłości, widzę to dobrze.

Tato, nie zdążyłem Ci tego powiedzieć, jak bardzo, bardzo Cię kocham.

Chamstwo

Twórczość przekracza konwencje. To jej prawo. Althamer mobilizuje mieszkańców bloku na Bródnie, którzy w określonym momencie zapalają o zmroku okna, tak że tworzy się napis 2000. Ważny jest tu nie tyle efekt, ile proces połączenia się mieszkańców. A więc rola sztuki, której dawno nie brano pod uwagę. Tych nowych obszarów jest więcej, bez liku – ktoś w szacownej sali Zachęty obiera ziemniaki. Idę na wernisaż, jest deszcz, słota, ale przychodzę. I co? Warto było? Wychodzę wściekły, ale i to się mieści w idei wystawy nowych prądów w sztuce. Mówię sobie, to jeszcze nic, w jakiejś galerii artysta (?) zrobił kupy na podłodze. Własne? Przekroczył granice wstydu, a przede wszystkim – dobrego smaku. Teraz już wszystko wolno.

Sztuka burzy granice, a więc to, co jest tradycją, niepisaną umową społeczną, co obala hierarchie, podziały klasowe, kulturowe. Ingeruje w nasze życie. Może właśnie dlatego zanika pojęcie chamstwa. Jest wszędzie. Wystarczy włączyć telewizor, obejrzeć dziennik, komentarze

przeciwników politycznych, ich twarze pełne jadu, złości. Tego dawniej nie było. Pamiętam sejm w przedwrzesniowej Polsce. Były napaści, awantury, ale bez nienawiści.

Wszędzie spotykamy chamstwo, w języku, zachowaniach. W telewizyjnych kabaretach, kiedy powszechną radość budzi użycie na scenie takich słów, jak k..., p.... itp. To zawsze bawi. Jak daleko od Kabaretu Starszych Panów. Nergal, człowiek zresztą inteligentny, drze na strzępy karty Biblii; inny, ku radości tłumu, pokazuje publicznie goły tyłek. Na wystawie pani Nieznańska kładzie genitalia na ramionach krzyża. Sukces. Toczy się proces sądowy. O co? O obrazę majestatu itp. Zasłania się tym, że jest to sztuka, gest artystyczny. A to po prostu chamstwo. W moskiewskiej cerkwi podrygują dziewczyny, zasłaniając maskami twarze. Stały się sławne na całym świecie. Pussy Riot. Roi się od zachwyków dla ich odwagi, a to po prostu chamstwo. Nie o Putina przecież chodzi, ale o to, że tańczyły w cerkwi, miejscu dla milionów ludzi świętym. Obrażały świadomie, licząc, że świat się za nimi ujmie. Chamstwo staje się znakiem rozpoznawczym naszego czasu. Istniało wprawdzie od czasów Noego i jego antypatycznego syna. Zawsze jednak stwarzano mu granice. Było to ważne zadanie kultury: oddzielać dobro od zła, piękno od brzydoty, kulturę wysoką od niskiej, trywialnej. Te granice, między innymi za sprawą sztuki, pękły w naszych czasach. Akcjonści wiedeńscy wieszają zabite krowy, taplają się we krwi. Malowali między innymi, nasz sztandar, białe pasmo – mlekiem, czerwone – krwią. Prawdziwą! Obserwowałem reakcje ludzi w Polsce, w Wiedniu – zażenowanie. I o to chodziło. O przekraczanie granic w naszej psychice. O znieczulenie. Do tego przecież sprowadza się lekcja takich wystaw. Czy naprawdę cieszyć się z tego powodu? Traktować jako postępek?

Wstydlive staje się pojęcie elity. Załamują się hierarchie praw i obowiązków, zachowań. Niknie rola inteligencji. Słownictwo zaśmiecone obcojęzycznymi wtrętami. Dzieje się to na naszych oczach. Kulturę inteligentną niszczy kultura kibolska. Kreuje seanse nienawiści, pogardy dla „innego”. Patriotyzm zamienia się w kult siły, nienawiść do inaczej myślącego, Żyda, obcego, pederasty.

To już nie tylko antysemityzm, ale antyhumanizm.

Zbudowaliśmy wielkie stadiony, które łączą środowiska. Ale dopiero teraz widać, jak trudno wypełnić z naszego życia chamstwo.

Dobrzy, wspaniali, święci

Przeczytałem, że jest w Polsce 2500 przeszkolonych egzorcystów. Koszmar! Wyobrażam sobie, jak wchodzi całą grupą na „żyletę” stadionu, by ewangelizować kibiców. Pomyślałem o kibicach w kontekście zła. Mowa, przekleństwa – świat zupełnie mi obcy. A mój, inteligentki? Może inny kształt zła, ale przecież też jest. Zło jest wszędzie, w naturze człowieka. Zło i dobro. Odróżnia nas od małp, psów i innych zwierząt. Zło i dobro, świadomość tego, co robimy, jest w nas, od nas samych

zależy, co wybieramy. Kiedy myślę o moim życiu, kamufłuję to, czego się wstydę, ale to przecież istnieje. Jest. Jest i dobro, nim chciałbym się chwalić, ale czy przeważa w tym rachunku? Dobro przemija, krzywdy zostają, ich się nie naprawi. Żadna pokuta nie pomoże... Tylko pamięć może zamazać, schować to, co niszczy spokój. Pozwala zapomnieć... Błogosławiony dar. Ale kiedy myślę o moim życiu, wciąż żywa jest w nim pamięć o dobru, o tym, czego doznałem od innych ludzi. Nie wiem, czy przeżyłbym tyle lat, gdyby nie ich pomoc. Nawet w Rosji bezpieczeniaków – gest jakiejś obcej kobiety, która w najstraszniejszych dniach głodu dała mi kromkę chleba. We Lwowie, w dzień wywózki na Sybir, stałem na przystanku tramwajowym i zupełnie obca pani spojrzała na moje zniszczone, podarte buty, powiedziała, żebym do niej przyszedł, da mi dobre. Po mężu... Stary Żyd zlitował się nade mną, gdy na wiosnę próbowałem sprzedać ciepłe palto. Dał mi więcej, niż chciałem. Ktoś podarował mi dywanik, na którym spałem kilka lat. To moje wielkie szczęście, ludzie dobrzy, wspaniali. Są wśród nich także tacy, których niezależnie od stanu ich wiary mógłbym nazwać świętymi. Mimo środowiska, pokus tego świata, mimo wszelkich trudności.

Oto oni: moja biedna, malutka jak myszka Stasiunia. Jak ją poznałem? Pomagała wychować moją córeczkę, Oleńkę. Pomagała niani, potężnej kobiecie, kochającej dziecko, ale zdaniem Stasi zbyt brutalnej. Niania podporządkowała sobie inne „ławkowe” opiekunki, tytułując się „doktorem” (po mężu). Stasiunia mieszkała u nas w kuchni, nic swojego nie miała, Oleńkę kochała, ciągle bacząc, aby się jej jakaś krzywda nie stała. Podarowałem Stasi ocalałą wśród gruzów fotografię – plakietkę Marii Magdaleny, która kiedyś wisiała u mnie nad łóżkiem. Stasia była sierotą, wychowywała się w ochronce. Kochała Oleńkę, ale i mnie. Kiedy były wybory prezydenta, uważała, że tylko ja powinienem nim zostać. A wybrano Bieruta. Stasia była niepokieszona.

Kiedy umarła dyrektorka ochronki, razem z jeszcze jedną wychowaną poszły do księdza, prosząc o mszę i o poświęcenie trumny. Ksiądz zażądał kilkuset złotych, a one nie miały. Wyszły z płaczem. „Tyle pieniędzy za modlitwę” – dziwiła się Stasia. Ale potem, kiedy już Oleńce nie była potrzebna niania, ani ona, mieszkała u mnie, a pracowała w kościele ojców Paulinów na ul. Freta. „Pracowała – to przesada – z trudem ścierała kurz z podłogi ale pilnowała. Słabła, szybko umarła. Wtedy kościół zorganizował jej pogrzeb tak uroczysty, tak wspaniały, jak prymasowi. Światła, organy, chór męski i żeński, dwunastu księży przy ołtarzu. To było cudowne, dostrzegli i umieli to okazać, jak piękna to była postać, moja maleńka, drobna Stasiunia.

Skromny, zawsze uśmiechnięty staruszek ksiądz Jańczak przychodził do mojej szkoły im. Jana Długosza we Włocławku. Kiedyś, szalejąc na schodach z pęcherzem wody, zeskakując ze stopni, zderzyłem się z nim. Ze strachu puściłem wentyl i oblałem księdza dosłow-

nie od głowy aż po stopy. „Dziecko, nie martw się” – powiedział, ociekając wodą. Mieszkał na strychu: taboret, blaszana miska, na niej jabłko. Żył dla Boga i ludzi. Cudowny, święty człowiek.

A później, w Instytucie Sztuki, ilu wspaniałych ludzi spotkałem, zawsze otwartych na drugiego człowieka. Mój przyjaciel, fotograf Jan Świdorski, Jadwisia Jarnuszkiewiczowa, która dla mnie poświęciła najlepsze lata swego życia, jej mąż, znakomity artysta i człowiek w istocie święty. Szlachetny, piękny, mądry. Jego asystent Henryk Morel, wybitnie uzdolniony, z którym mieszkaliśmy razem parę lat. Załamało go okrucieństwo policji, bicie studentów w 1968 roku. Cudowny człowiek, bezbronny w życiu. Henio miał wtedy przemożną chęć śmierci. Pojechaliśmy nad Wigry. Nie upilnowałem go... Wszyscy, wieś i goście szukali go w lesie. Na końcu poszedłem z moim psem, czułem, że go znajdę. Wybrałem ścieżkę idącą w głąb lasu, i tak, jak mi się to w nocy śniło, pies zjeżył się. Spojrzałem na drzewo – był. Wspaniały człowiek, głęboko wierzący.

A mój ojciec? Całe życie poświęcający się dla mamy, dla mnie, dla przyjaciół. W latach wojny ukrywał Żydów; bojąc się o mamę, co on przeżył...

Tę listę mógłbym ciągnąć dalej. Teraz, w pierwszym odruchu zapisałem dwadzieścia siedem nazwisk. Każdy był niezwykle. Profesor Walicki, znakomity historyk sztuki, który na swoich natchnionych wykładach płakał. Raz, po moich imieninach, nie czuł się rano najlepiej. Przyszedł na zajęcia, ale zamknął się w ubikacji aż do obiadu. Wszędzie go szukano. Czuł, że nie jest w formie. Kiedyś zobaczyłem go w nocy, jak leżał krzyżem w kościele. Ilu niezwykle ludzi spotkałem. Szczęście? Oczywiście, ale i piękny obraz świata. Egzorcyci wszędzie widzieli zło, w moim, przecież normalnym świecie zachwycali mnie ludzie. Ile dobra, piękna jest w fundacji państwa Formanowiczów, jedynej takiej stworzonej przez biznesmena i jego wyjątkową, cudowną żonę – Annę. Już blisko półtorej setki młodych ludzi realizuje program „Daję, abyś i Ty dawał”. Muszę o tej fundacji wspomnieć, mimo że postanowiłem nie wspominać o ludziach, których widuję i podziwiam. Czuli by się skrepowani.

Przez lata pracowałem z artystami, których nazywa się umownie naiwnymi. Iluż tam poznałem ludzi wielkiej klasy, głębokiej wiary. Stanisław Zagajewski, Rząd, Tomek Sitkowski i jego rodzice, poświęcający życie synowi. A kiedy myślę o artystach, jak nie wspomnieć o tych, którzy z nimi i dla nich pracowali... Marylce Wierchoń, Ani Kunczyńskiej-Irackiej, Zofii Reinfus. A piękna, urocza mimo wieku pani Mickiewicz... Muszę też powiedzieć o wspaniałych kapłanach, z którymi los pozwolił mi się poznać – ks. kardynał Macharski, ks. Twardowski, ks. Pasierb, ks. Nitka.

To, co napisałem, przypomina rachunek gospośi. Mam piękne życie, mam wciąż przyjaciół – cudownych. Naprawdę. Może więc świat nie jest taki zły...

Glossa o racjonalnym myśleniu

Przeciwstawiam rozum wierze, ale obawiam się, że wiara w rozum jest zawodna. Wielu z nas miało w życiu doświadczenia, których racjonalnie nie umiemy pojąć. Dwa razy dwa nie zawsze daje cztery. Czegoś za mało, czegoś za wiele. Znane jest zjawisko *déjà vu*. Wydaje się nam, że w tym miejscu już byliśmy, że je znamy. A czy możliwe jest zobaczenie czegoś, co dopiero się zdarzy? Czegoś, czego nie mogliśmy widzieć? Andrzej Kreuz-Majewski, światowej sławy scenograf, namalował obraz – pejzaż miejski. Pejzaż ten zobaczył na własne oczy znacznie później, gdy się dowiedział od matki, kim jest jego ojciec i gdzie mieszkał. Ja miałem dwa takie zdarzenia.

W Cimochowiznie nad Wigrami byłem razem z przyjaciелеm, miał myśli samobójcze, bałem się o niego, no i nie upilnowałem. W nocy czekaliśmy wszyscy. Wiedziałem, że trzeba szukać, że zdarzyło się nieszczęście. Miałem sen, idę do lasu, pies na smyczy, nagle się pręży, stroszy, staje. Patrę do góry na drzewo – jest. I następnego dnia rozsyłam wszystkich letników, a sam idę z psem na smyczy ścieżką do lasu. Czuję, w i e m, że Go znajdę. Wszystko jak we śnie, pies zjeża sierść, patrę do góry...

Następny fakt. Syberia, wiosna, mam sen: idę wzdłuż brzegu rzeczki i nagle nadpływa kuter pomalowany na niebiesko. Na przodzie stoi żołnierz oparty o maszt, wyciąga rękę i mówi. „Jest polskie wojsko!”. Opowiadam o tym współtowarzyszom. Oby tak było! Deklarują, że jeśli tak, dostanę ich porcje chleba. Następnego dnia idę przy brzegu rzeczki i nadpływa kuter, identyczny jak ten ze snu, tylko na zielono malowany. Stoi żołnierz oparty plecami o maszt, wyciąga rękę i mówi – jest polskie wojsko. Tak, jak to widziałem poprzedniego dnia we śnie... Więc co, oczekiwałem na ten kuter, na wojsko? Przecież nie wiedzieliśmy o nim.

No i co o tym myśleć? Rozum to $2 \times 2 = 4$, a tu sen uprzedzający fakt. Więc ostrożnie z tym racjonalnym myśleniem. Poza nim też jest jakiś rąbek świata, którego nie znamy.

Zdjęcia obok od góry:

Las tajgowy i starorzecze Jany, na północ od Wierchojańska.
Znak kilometrowy przy drodze do Topolinnoje w Górach Wierchojańskich
Słupy i resztki łagrowych drutów obozu, nad osadą Batagaj, w Górach Wierchojańskich
Las tajgowy i starorzecze Jany, na północ od Wierchojańska. Fot. Lech Mróz

Redakcja serdecznie przeprasza Lecha Mroza, autora zdjęć, które zamieściliśmy przy artykule Jerzego S. Wasilewskiego *Etnolog w podróży* (8): *Mandar, człowiek niezwykły* na str. 193 w numerze 1/2013, przypisując je autorowi artykułu. Autorem zdjęć był Lech Mróz.

